

## PROLOG

Siedziałam na parapecie, przyglądając się swoim nagim stopom. Zawieszane nad przepaścią kołysały się, wyswobodzone z pończoch, które teraz wisiały na poręczy krzesła. Przez chwilę wydawało mi się, że jestem wolna. Złudne wrażenie, bo samo zdjęcie pończoch niczego nie zmieniło. Pozostały gorzkie wspomnienia. I uczucie, które towarzyszyło ich pierwszemu zakładaniu. Ten dreszcz oczekiwania i odrobina wstydu. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł. Dorosłość i element zaskoczenia. I ten jego wyraz twarzy. Oczy połyskujące w ciemnościach, a potem nagły błysk i tłum unoszący ręce w ekstatycznym geście. Sukienka odsłoniła w tańcu koronkowy pas, zdręczyni podjeżdżająca zbyt wysoko bez uzgodnienia tego z właścicielką. Dzisiaj ją włożyłam, jakbym chciała odczarować ulubiony ciuch. Przepędzić raz na zawsze demony. Odprawić egzorcyzmy i rozpocząć wszystko na nowo.

Jeszcze niedawno byłam zła. Mało powiedzieć zła, byłam po prostu wściekła. Ignorowałam oczywisty fakt, że stałam się jednym z elementów gry. Broniłam się przed tym, pisząc coraz bardziej fantastyczne scenariusze i szukając wymyślnych usprawiedliwień dla siebie i dla niego. Naiwna dziewczynka, której ktoś obiecał zamek z piasku, a potem jednym ruchem go zburzył, gdy wreszcie uwierzyłam, że będzie wiecznie trwał. Czulałam się jak kosmonautka w rakiemie, która startuje donikąd, a ja siedzę w środku, z zapasem pigułek zapomnienia. Uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie przywołać marzeń, ukrytych głęboko w szufladzie „dzieciństwo”. Uczciwie rzecz biorąc, to w ogóle ich już nie pamiętałam. Po prostu ja, Zuzanna, przestałam istnieć. Dla niego i wbrew samej sobie. Aż do wtedy, do pamiętnej rozmowy. Dzisiaj więc chciałam zgodnie z postanowieniem raz na zawsze uwolnić się od niego i rozpocząć wszystko od nowa. Dwa miesiące temu, mając za sprzymierzeńca przypadek, dowiedziałam się o wszystkim, i to ze szczegółami. To się nazywa terapia szokowa z narażeniem życia pacjenta. Pytanie, czy zdoła go uzdrowić, czy wręcz przeciwnie.

– Śmierć facetom – rzuciłam w przestrzeń, przyglądając się iglicy Pałacu Kultury, która z wysokości dwunastego piętra apartamentu zdawała się na wyciągnięcie ręki.

To nie była miłość, tylko uzależnienie. Od czułych słów, spojrzeń i tajemnic, przepraszin i prowokacji. Nie miałam prawa myśleć o tym inaczej. Niech żyje cynizm. W gruncie rzeczy brak złudzeń też może być interesujący.

Teraz, gdy tak siedziałam na parapecie wysoko w górze, wpatrzona w rój światełek i poruszające się w dole ludzkie figurki, czulałam, że wreszcie widzę swoje życie z właściwej perspektywy.

## ZUZANNA

Byłam sprasowana jak naleśnik. Kobieta w metrze, pachnąca podróbką Chanel, wbijała mi łokieć w żebro, a stojący naprzeciwko chłopak żuł gumę. Gdyby jeszcze robił to dyskretnie, ale ciągle tuż przed moim nosem pojawiał się i znikał ogromny różowy balon. Nie rozumiem, jak można perfumować się rano ze świadomością, że za chwilę wyląduje się w jednym z wagonów przypominających puszki z sardynkami. I w dodatku ta guma po kilku wypuszczonych na wolność balonach pełna jest zarazków, które fruują w powietrzu, wyrzucane w przestrzeń przez sapiący, rozgrzany tłum. Nie mam obsesji na punkcie higieny, ale wyznaję zasadę zdrowego rozsądku, zwłaszcza w ekstremalnych sytuacjach. Trzeba być pozbawionym wyobraźni, żeby tak bez końca ją żuć i dmuchać.

Ludzie są po prostu nie do zniesienia. Na przykład ten facet z teczką. Wpatrywał się w mój dekolt, a ja nawet nie mogłam zapiąć czarnego prochowca, bo jedną ręką trzymałam się kurczowo poręczy, a drugą ścisnęłam z całej siły uchwyt historycznej torby lekarskiej. Siedem stacji o świcie to moja codzienna droga przez mękę. W zeszłym roku, gdy byłam w pierwszej klasie liceum, opracowałam nawet plan dojazdu górą, nie jak szczur kanałowy, ale jak elegancka kobieta spiesząca o poranku na wyjątkowo ciekawe zajęcia do renomowanego liceum. Skończyło się to tragicznie. Oto bilans strat: spóźniona na sprawdzian z matematyki, totalnie niewyspana, bo musiałam wyjść z domu pół godziny wcześniej, i pozbawiona ulubionej szafirowej chusty, która zsunęła mi się z włosów w autobusie i pozostała tam wdeptana w błoto przez rozszalały tłum. Poniosłam ofiarę i ostatecznie zdecydowałam się na wybór mniejszego zła, czyli podziemny środek lokomocji.

Nienawidzę jeździć metrem. I nic tego nie zmieni, chyba że będę podchodzić do sprawy jak Gosia, która zawsze wypatruje ładnego chłopaka i z reguły między jedną a drugą stacją wymieniają się numerami telefonów, a potem pospiesznie planują wypad do jednego z warszawskich klubów. Nie rozumiem tak zawrotnego tempa zawierania znajomości, ale nie każdy ma równie imponujące statystyki jak moja najlepsza przyjaciółka. Już dawno przestałam zwracać na to uwagę.

W tej chwili na przykład prowadziła ożywioną konwersację z bladym brunetem, który przed sekundą miał senne spojrzenie, ale teraz tętno wyraźnie mu przyspieszyło. Ci chłopcy są tak przewidywalni, że trudno mi uwierzyć w inny scenariusz. Kilka słodkich spojrzeń, łapanie za rękaw, szukanie wspólnych znajomych, obietnica nie wiadomo czego poparta olśniewającym uśmiechem i już facet ugotowany. Taka właśnie jest Gosia.

Metro przemówiło po raz kolejny i wypuściło nas na stacji Raławicka. Wyszłyśmy na powierzchnię i nagle poczułam, że ten piątek będzie wyjątkowy.

Doszłam do siebie dopiero na dużej przerwie. Po mękach na polskim, gdy po raz kolejny dowiedziałam się, że wszyscy umrzem, a życie i tak nie ma sensu – swoją drogą ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi – stanęłam z Gosią przed barkiem, wpatrując się poządliwie w czekoladowy wafelek. W końcu trzeba sobie dogadzać, mając w perspektywie rychły koniec.

Nagle ktoś ciężko westchnął. Kątem oka dostrzegłam Gabi, najbardziej kochliwą dziewczynę w naszej klasie. Wbijała wzrok w chłopaka, który stał oparty o nieskazitelnie białą ścianę, odmalowaną podczas wakacji i nieskalaną jeszcze przez stado bezrozumnych goryli, jak zwykły o nas mawiać pan Andrzej, ochroniarz i woźny w jednej osobie. Chłopak miał na sobie bluzę, o której od dawna marzyłam, a ostatnio widziałam na przecenie w Levisie. Wyglądał na tle białej ściany jak żywa reklama firmy. Po prostu tam był. W opadających luźno spodniach, z długimi włosami ściągniętymi byle jak do tyłu, spłowiałymi od słońca. Z

najbardziej radosnym i bezczelnym uśmiechem, jaki miałam okazję w swoim życiu oglądać. Wydawał się równie nowy jak ściana, o którą się opierał. Obstawiałam, że będzie w tym roku zdawał maturę.

Nigdy tak naprawdę nie przywiązywałam wagi do swojego wyglądu. Uroda to dla mnie pojęcie względne. Miałam opinię zbuntowanej artystki o głębokim, mrocznym spojrzeniu. Można mnie było łatwo zauważyć, z burzą rudawych włosów, które rzadko upominały się o grzebień, bo i tak wiedziały, że nic to nie da. Niech żyje artystyczny nieład! A poza tym przecież same się układały. Raz na trzy miesiące wyrównywałam końcówki i nawet ciągle pouczenia babci nie potrafiły zmienić moich poglądów na ich długość.

Tak naprawdę to nie narzekałam, bo nogi też mam długie, a oczy zdaniem Gosi mogą przyprawić o zawał najtwardszych chłopaków. Śmieszyło mnie to, bo akurat ten rodzaj nie figurował na liście moich zainteresowań. Trudno się z nimi rozmawiało, nie potrafili skupić wzroku, a jeśli już, to wlepiali go tam, gdzie nie trzeba. Najbardziej w płci przeciwnej ceniłam umiejętność prowadzenia ciekawej rozmowy.

Nie spodziewałam się więc fajerwerków, ale nie ukrywam, że przyglądałam mu się z umiarkowaną ciekawością, nie tak jak pozostałych kilkanaście dziewczyn, które znieruchomiały, wężąc nową ofiarę. Ale chłopak zdawał się nie zwracać uwagi na pospolite ruszenie zdeterminowanych licealistek i razem z Kacprem śmiał się z czegoś, mrużąc nieprawdopodobnie zielone oczy. To one zwróciły moją uwagę, a śmiech przypominał mi wiersz Kawafisa *Lustro w hallu*. No cóż, jestem poza wszystkim nieuleczalną miłośniczką poezji. Szczególnie takiej, która opiewa piękno samo w sobie. A chłopak przybył prosto z frazy aleksandryjczyka i stał jak gdyby nigdy nic, ze światłem na włosach, na szkolnym korytarzu pełnym jesiennego słońca.

Tak, owszem, jestem niepoprawną romantyczką, co nie oznacza oczywiście, że opierający się o ścianę młodzieniec był ideałem. Nawet przez myśl by mi to nie przeszło. Wpadłam po prostu w dziwny nastrój. To wszystko wina piątku i nadciągającego weekendu.

Pierwsze jesienne Reytan Party i zanim się obejrzałam, wbrew sobie samej dałam się namówić na pójście do klubu. Jak już wspomniałam, moja najbliższa przyjaciółka potrafiła być niezwykle przekonująca.

Zeszłam powoli schodami na parter, usiadłam pod portretem patrona i poczułam za plecami powiew powietrza, a zaraz potem usłyszałam zgrzytanie wampirzych zębów. Po lekturze książki *Wobec zła* nie byłam tym zaskoczona. Prawdziwe oblicze Tadeusza Reytana zdradziła mi profesor Maria Janion, mistrzyni wyemancypowanych intelektualistek. Odtąd nie widziałam go już inaczej niż w postaci upiora. Ignorując niepokojące wizje, włączyłam iPoda i uległam hipnotyzującemu głosowi Kurta Cobaina. Zamknęłam oczy i oddałam się wysublimowanym skojarzeniom.

Nagle poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Dotyk wydawał się tak delikatny, że przez chwilę miałam wrażenie, iż to część mojej wizji. Gdy otworzyłam oczy, nie byłam pewna, czy to sam upiorny Reytan z obrazu, a może cudowny Kurt, bo intruz stał pod słońce, a jego twarz tonęła w cieniu. Przede mną tkwił jednak przyszyły maturzysta, który wzbudził wcześniej takie zainteresowanie dziewczyn, a któremu ja poświęciłam kilka niezobowiązujących myśli. Nie wiedzieć czemu, moje serce zaczęło galopować w nieprzypadkowym rytmie. Zanim jednak naprawdę się tym zaniepokoiłam, pochylił się nad ekranem iPoda i spojrzał mi prosto w oczy.

– Słuchasz Nirvany – stwierdził raczej, niż spytał. – Kiedyś ci zagram...

Nie czekając na moją reakcję, wrócił do niecierpliwących się kolegów i włączył się do rozmowy. Rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka i uznałam, że jednak fałszywie odczytałam własne emocje, bo nigdy dotąd nie reagowałam tak na chłopaka. To przecież oni tak reagowali na mnie i nie zamierzałam tego zmieniać.

– Czego od ciebie chciał? – rozległ się głos Gosi. – Znacie się?

– Nic specjalnego – odparłam od niechcienia. – Też lubi Kurta Cobaina – dodałam obojętnym tonem. – To wszystko.

Wiem, kiedy należy zachować czujność. Owszem, Gosia jest moją serdeczną przyjaciółką, ale jednocześnie to najbardziej pokrętna osoba, jaką zdarzyło mi się w życiu spotkać. Kolegujemy się od trzech lat i choć wydaje mi się, że dobrze ją znam, za każdym razem mnie zaskakuje. Kocha mnie całym sercem, pod warunkiem że nie mam czegoś, co byłoby lepsze od tego, co sama posiada. Począwszy od ocen, a skończywszy na bardziej – z jej punktu widzenia – interesujących kwestiach. Już widzę, jak zaczyna się wdzięczyc do potencjalnego powodu mojej chwilowej słabości. Jak zarzuca sieć na ewentualny obiekt westchnień swojej najlepszej przyjaciółki. Na razie jednak lata świetlne dzieliły mnie od tego stanu, szczególnie że myślałam o sprawdzianie z chemii. To tajemniczy przedmiot, słusznie uznawany przez humanistów za bezużyteczny.

Moja najlepsza przyjaciółka złapała plecak i pociągnęła mnie za rękę.

– Pospiesz się, śpiąca królowo, bo jeszcze chwila i Topielica nie wpuści nas na lekcję! – krzyknęła i pognałyśmy korytarzem, mijając zatraskujące się kolejno drzwi.

Złapałam oddech i z trudem utrzymałam równowagę. Jednak lekarska torba dziadka to nie najlepsze rozwiązanie. Noszenie w niej zeszytów było prawdziwym aktem odwagi. Jeśli dodać do tego stos „absolutnie niezbędnych” rzeczy, mogłam zostać posądzona o zachwianą równowagę umysłową.

– Zuza, wiesz, że on jest nieosiągalny? W szkole aż huczy od plotek. Nie wiadomo tak naprawdę, czy nie jest w coś wmieszany. Jakaś afera miłosna... – Gosia błyskawicznie relacjonowała zebrane przy barku informacje i zerknęła na mnie z domyślnym uśmiechem.

Już podejrzewała mnie o słabość. Nie ma mowy, i tak jej nic nie powiem. Może mnie torturować, ile chce. Jestem niewinna.

– Od trzech dni u nas, przeniósł się ze Staszica, podobno sprawę wyciszono – dodała już szeptem.

– Jaką sprawę? – spytałam wbrew sobie, bo poczułam się zaintrygowana.

Przez chwilę słysząc było tylko nasze przyspieszone oddechy, ale jak zwykle nie wytrzymała i zaraz usłyszałam kolejny news.

– Spróbuję dla ciebie wyciągnąć szczegóły. – Teraz wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Jeśli tak bardzo się nim interesujesz... Potem oczywiście zdam raport i...

– Ja?! Interesuję?! – krzyknęłam, raptownie hamując przed drzwiami klasy.

– O, widzę, że panie nie mogą się doczekać matematyki. – Głos Topielicy ociekał fałszywą słodyczą. – Pani Zuzanna nawet się nią interesuje, więc odkłada torbę i wędruje do tablicy. Zobaczmy, jak sobie poradzi z trygonometrią.

Gdy było już po wszystkim, wróciłam na miejsce. Czułam się, jakby ktoś wrzucił mnie do wirówki i wyciągnął rozłożoną na czynniki pierwsze. Albo jak po wizycie u dentysty, kiedy cichnie na chwilę maszyna, a ptaki, obojętne na twoje cierpienie, beztrudnie śpiewają za oknem. Otworzyłam książkę i w tym momencie na ławce tuż przed moim nosem wylądowała zwinięta w rulon karteczka. Chwyciłam ją szybko i rozpostarłam w dłoni, jednocześnie patrząc niewinnie w oczy Topielicy.

– Jak już mówiłam, matematyka wymaga odrobiny inteligencji – mówiła cichym głosem. – W tej szkole nie ma uczniów, którzy byliby jej pozbawieni, chyba że dostali się do nas przez pomyłkę, ale taki błąd można łatwo naprawić. – Uśmiechnęła się jadowniczo. – Tym razem sobie pani poradziła. Nie wiem tylko, czy zawdzięczamy to święto przypadkowi, czy też wreszcie ujawniła pani swoje rzeczywiste możliwości – dodała, przyglądając mi się przez dłuższą chwilę.

– Lepiej nic nie mów. – Usłyszałam szept siedzącej obok Magdy. – Ona tylko na to czeka.

Nauczycielka odwróciła się do tablicy i wtedy zerknęłam na list.

Dowiedziałam się jeszcze, że taka jedna ze Staszica chciała się dla niego zabić. Ledwo ją odratowali.

Pochyliłam się gwałtownie i postukałam Gosię w plecy.

– Co ty opowiadasz? – syknęłam. – Nie wierzę.

Otworzyłam zeszyt i patrząc na tablicę, zaczęłam bezmyślnie przepisywać równania.

– Lepiej uwierz, Justyna z mat-fizu odwiedziła ją w szpitalu. Mieszkają w jednej kamienicy. Przedwojennej, byłam tam kiedyś na superimprezie. Nawet nie wiesz, jak się Gabi tam spiła, krzyczała, że kocha Bartka. Coś okropnego – relacjonowała Gośka. – Dobra, nie zagaduj mnie, skupmy się lepiej, bo nie będziemy znowu prosić genialnego Tomasza o wytłumaczenie tego bełkotu.

A ja przecież nie odezwałam się ani słowem w trakcie płomiennego monologu przyjaciółki. Wyrzłałam przez okno, wspominając, co dokładnie ten idiota Tomek kiedyś o nas wygadawał. Śmiał powiedzieć, że mamy jeden, wspólny mózg. I że to wszystko tłumaczy. A sam nie potrafi sklecić kilku akapitów na dowolny temat zadany przez naszego słynnego polonistę, obciążonego *notabene* genem nienawiści wobec kobiet. I w dodatku owładniętego obsesją śmierci. Nie było łatwo, o nie! Ciężko westchnąwszy, skupiłam się na słowach nauczycielki.

## MICHAŁ

Nowa szkoła jest w porządku. Nie spodziewałem się gorącego przyjęcia, szczególnie po tym, jak moja wychowawczyni zadzwoniła do wicedyrektor i opowiedziała jej ze szczegółami, jaki to ze mnie bezczelny typ. No tak, okres dojrzewania mam już dawno za sobą, ale i tak moja matka, Dorota, jest przekonana, że afery w szkole biorą się z arogancji i pychy typowej dla nastolatków. Nikt oprócz wicedyrektor nie wie, że chodziło o Magdę. I teraz, po wakacjach, dochodzę do wniosku, że to była dobra decyzja, bo coraz lepiej czuję się bez wykańczającej zazdrości mojej dziewczyny. Masakra po prostu. Musimy od siebie trochę odpocząć. Będziemy widywać się tylko od czasu do czasu. Bez zobowiązań. Gdy tylko podjąłem to postanowienie, od razu zrobiło mi się lżej. Magda o tym nie wie, ale z czasem zorientuje się, że w naszym przypadku to najlepsze rozwiązanie.

Nie mogę już słuchać Doroty. Muszę posprzątać w pokoju, zanim wróci. Mam dosyć wysłuchiwanie jej pretensji: „Michał, siedzisz w tej swojej dziupli, niedługo stracisz wzrok od ślepienia w komputer. Michałku, zrobisz ci kanapeczki? Michał, kochanie, zgłoś się do agencji modeli, jestem pewna, że cię wezmą z pocałowaniem w rękę”. I tak w kółko. Można zwariować. Naogłądała się seriali i wyobraża sobie, że zrobię karierę jako model albo aktor czy statysta. Nie pojmuję, jak się rodzą w umysłach nawiedzonych matek tak durne pomysły. Nasza sąsiadka ma synów bliźniaków. Igor i Paweł od pieluch grają w reklamach i są przez to nienormalni. Nie wyjdą na ulicę bez manikiuru. A Dorota wciąż tylko opowiada, jacy to świetni chłopcy. Nie znoszę tego bełkotu.

Uważne spojrzenie Asuki, rzucone z półki nad biurkiem, odciągnęło moją uwagę od mamy. Opuściłem wzrok, koncentrując się na figurce. Idealnie szczupła, w kostiumie kąpielowym. Moja ruda księżniczka wyciągnięta rozkosznie przed ekranem komputera. Mam swój pokój, swój świat, swoją dziewczynkę. Niczego mi więcej do szczęścia nie trzeba.

Chociaż ta dziewczyna na szkolnym korytarzu jest intrygująco podobna do Asuki. I chyba jako jedyna nie wpatrywała się we mnie jak w obrazek. Główną wadą zmiany szkoły jest przechodzenie tych wszystkich etapów westchnień i prób zwrócenia na siebie uwagi. Dziewczyny są okropnie przewidywalne. Wystarczy jeden wieczór i już ci jedzą z ręki. To nie moja wina, że tak jest. Chyba będę musiał przyjrzeć się bliżej tej rudej piękności. Ma śliczne oczy, bardzo zgrabne nogi i najwyraźniej nie mdleje na mój widok.

Z trudem wyparłem jej wspomnienie. Musiałem zabrać się do historii. W sumie to nie jest takie złe. Przynajmniej nie będę grał na komputerze, a ostatnio mam przez to sporo snów, w których muszę uciekać i ukrywać się przed prześladowcami. Za bardzo wkręciłem się w najnowszą edycję Mafii II z dodatkami.

Trzasnęły drzwi.

– Michałku, jesteś? – Usłyszałem głos Doroty.

Była zła. Poznaje to zawsze po jej tonie, mniej lub bardziej słodkim. Nie jestem dobrym synem. Im więcej słodczy, tym lepiej dla mnie, bo wtedy traktuje mnie jak małego chłopczyka, któremu wszystko się należy. Gorzej, gdy ma zły humor. Wtedy wyrzuca mi, że nie staram się o żadną rolę, że jestem leniem, który wysiaduje godzinami przed komputerem, i w dodatku ciągle są ze mną jakieś problemy. Nie moja wina, że Magda wydzwaniiała do niej, zwierając się, że za chwilę się zabije. Jak na złość, robiła to wtedy, gdy nie było mnie w domu i akurat zapomniałem komórki. Afera z wezwaniem pogotowia i policji to zasługa mojej kochanej mamy. Po prostu rozhisteryzowana wydzwaniiała, gdzie popadło, i efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Magda o mały włos nie dostała zawału, kiedy w nocnej koszuli otworzyła drzwi ekipie pogotowia i policjantom gotowym spisywać wszystkich jak leci. Minęli ją bez słowa i wtargnęli do sypialni rodziców, krzycząc, gdzie jest samobójczyni i czy to na pewno samobójstwo. Rodzice wyrwani ze snu mrugali tylko nieprzytomnie. Nie mogli wykrztusić ani

słowa i – jak mi Magda później opowiadała – sami wymagali medycznej interwencji panów w białych kitlach. Po otrzymaniu środków uspokajających chwycili wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi. Oczywiście zostałem wrobiony przez Magdę, że niby to ja jestem wszystkiemu winien, że przeze mnie chciała odebrać sobie życie, choć potem zmieniła zeznania i stwierdziła, że to był tylko głupi żart. I jakoś nikomu nie przeszkadzało, że to w mojej oficjalnej biografii fakt ten zostanie odnotowany.

Efekt był łatwy do przewidzenia. Wszyscy spokojnie się rozeszli, za to ja wylądowałem na komendzie i musiałem się gęsto tłumaczyć z rzekomego prowokowania prób samobójczych oraz z tajemniczego telefonu Doroty z mojej komórki na pogotowie i komendę. Potem przez dobry tydzień moja wyjątkowa matka odchodziła od zmysłów, że ją aresztują za nieuzasadnione wezwanie, a jako znana w rodzinie histeryczka widziała już siebie w więzieniu, mnie zaś bez obiadów. W sumie nie byłaby to wielka szkoda, jeśli się weźmie pod uwagę jej talent kulinarny. Wreszcie okazało się, że nieważne, kto dzwonił, tylko przez kogo Magda chciała się zabić. Scenariusz wyglądał tak, że dostałem kuratora, a ponieważ niezależnie od tej afery naraziłem się w szkole jednemu z profesorów, pod wpływem łagodnej perswazji pani dyrektor postanowiłem zmienić budę. I tyle.

– Michał! Pytałam, czy jesteś?! – wrzasnęła w progę moja nerwowa mama.

– No jestem, przecież stoją buty, pewnie się o nie potknęłaś. I co tak krzyczysz? – odpowiedziałem, odwracając się w jej stronę.

Stała w wejściu, tupiąc nogą jak mała dziewczynka. Czasami się zastanawiam, które z nas jest doroślejsze i bardziej odpowiedzialne. Jej mania zbierania maskotek doprowadza mnie do szału.

– Nie bądź arogancki. Bo wyrzucą cię z kolejnej szkoły. I posprzątaj u siebie! – wykrzyczała i opuściła pokój, trzaskając drzwiami.

Moje stosunki z Dorotą nie należą do idealnych. W zasadzie są mocno schizoidalne, bo oscylują między miłością a nienawiścią. Ona tak ma. Ojca widuję raz na pół roku, więc to nie problem. Od czasu jego wyjazdu do Szwajcarii i porzucenia Doroty dla jakiejś pani mecenas nasze stosunki uległy poprawie. Ojciec się uspokoił, nawet usiłuje rozmawiać z mamą, choć na razie bez skutku. Mieszka pod Genewą, pracuje w ośrodku Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN i jest szczęśliwym człowiekiem.

Dorota zaczęła znów coś do mnie krzyczeć, ale się wyłączyłem. Uznałem, że jeśli to coś ważnego, to sama do mnie przyjdzie.

Spojrzałem na Asukę, na wiszące na ścianach plakaty, na ukrytą w pokrowcu gitarę i wzruszyłem ramionami. No i co z tego, dzisiaj nie będę się uczył, tylko poszukam na Facebooku tej rudej piękności. I zobaczę, czy mi się nie przywidziało, bo może nie jest tak bardzo podobna do mojej dziewczynki.

Przy okazji pospacerowałem po galeriach dziewczyn z nowej szkoły. I stwierdziłem, że wszystkie wyglądają tak samo. Grzywka na bok, mocny makijaż, zdjęcia komórką, krzywe uśmiechy, klubowe łazienki i dym papierosowy. Przewidywalne jak to, że codziennie rano wszędzie słońce. Zastanawiałem się, czy znajduję tę piękność, zwłaszcza że nie znam jej imienia.

A jednak się udało. Zuzanna, rudowłosa panienska z drugiej humanistycznej. Ma świetną figurę i cała jest megamangowa. Najwyraźniej interesuje się fotografią. Robi dużo dobrych zdjęć swoim znajomym. Dorocie by się to spodobało, bo liczyłaby na wykonanie przez nią portretów do mojego portfolio. Gdy sprawdzałem ulubione strony Zuzanny, odkryłem, że ma słabość do jeży. Rozczulające i intrygujące. Mam nadzieję, że Magda nie wpadnie w histerię. Przecież chcę tylko porozmawiać.

## ZUZANNA

Gosia znów nie odpuściła. Musiałam wybrać się z nią po lekcjach do empiku i dopiero gdy utonęła w swoich pismach, wydając okrzyki oburzenia przeplatane jękami zachwytu, zdołałam wreszcie zebrać myśli. To, że jakiś chłopak do mnie podchodzi i mówi coś absurdalnego, nie oznacza absolutnie nic. Daleko mi do głupiutkiej nastolatki ekscytującej się wymianą spojrzeń z ewentualnym przedmiotem westchnień, nie jestem cyniczną panienką zaliczającą kolejne ciacha. Jestem zupełnie normalna i tak naprawdę nie interesują mnie jacyś tam nowi chłopcy. Mam znacznie poważniejsze sprawy na głowie. Muszę na przykład kupić nowy obiektyw do mojego nikonu. Bo wymyśliłam projekt na zdjęcia. I jeszcze chusta z błękitnego muślinu. Od pół roku nie mogłam jej znaleźć. A potrzebowałam do tańca brzucha – to kolejna moja słabość. Chodzę na kurs z bardzo dziwnymi paniami. Jedna z nich sprawia wrażenie plastikowej lalki ze sklepu dla dużych chłopców. Jestem tam jedyną nastolatką, która, po prostu zainspirowana muzyką arabską, postanowiła zgłębić tajniki odwiecznego tańca kobiet świadomych swojego ciała. W końcu to nic złego. Jak więc widać, jestem dość zajęta osobą. Nie miałam czasu nawet myśleć o tym nowym chłopaku. A przynajmniej próbowałam sobie to wmówić.

– Wiesz, on nawet coś w sobie ma – odezwała się nagle Gosia. – Taki obojętny, trochę jak James Dean w *Buntowniku bez powodu*.

A jednak nie odpuszczała. Jej intuicyjna zdolność odczytywania moich nastrojów była w istocie zatrważająca. James Dean stał się jej idolem po tym, jak zarządziłam oglądanie serii filmów z kultowymi aktorami w historii kina. Miałyśmy zwyczaj spotykać się raz w tygodniu na maraton naszej prywatnej Akademii Filmowej. Chyba że Gosia pędziła na kolejną ekscytującą randkę. Każda wspólna noc filmowa miała ściśle określony scenariusz. Robienie śmiesznych zdjęć, kręcenie Gosi włosów – stawała się na chwilę niewinną lalczką Barbie – skakanie po łóżku, objadanie się chipsami i opijanie zimnymi napojami, które czasem wzmacniałyśmy brandy wyciągniętą z narażeniem życia z barku rodziców Gosi. Najpierw jednak trzeba było pozbyć się jej brata, który – podejrzenie ożywiony – usiłował kontrolować, co robi młodsza siostra. Gdy stawał się zbyt nachalny, barykadowałyśmy drzwi i po krzyku.

– Słyszałaś, co mówiłam? – Gosia się niecierpliwiła. – Najpierw mdlejesz na jego widok, a potem udajesz obojętną.

– Nigdy nie zemdlałam na widok faceta i nigdy nie zemdleję, wybij to sobie z głowy – syknęłam, zamykając ostentacyjnym ruchem najnowszy numer magazynu „FOTO”. – Owszem, ma w sobie coś, ale rozejrzyj się wokół. – Wskazałam brodą bruneta z ciemnym zarostem, podkreślającym zarys szczęki. – Na przykład ten.

Zawsze wiedziałam, jak odwrócić jej uwagę. Gosia natychmiast straciła zainteresowanie tematem i wolnym krokiem ruszyła w stronę ofiary. Chłopak miał piękny profil. Wyglądał jak Cesare Borgia z trzeciej części *Assassin's Creed*. Zdarza mi się w to grywać z młodszym bratem. To gra historyczna, więc jak najbardziej dla mnie. No i zdecydowanie interesująca grafika. Ktoś mniej odporny mógłby się zakochać w bohaterze. Podobno Japończycy żenią się z postaciami z mangi. Coś niesamowitego! Zakochani w nich nieprzytomnie, wybierają świat wirtualny i roją sobie, że są bohaterami historii. Oni i te ich fantazje. Czasami naprawdę nie rozumiem facetów. Gdybym poślubiła Cesarego, to przebiłabym japońskie ceremonie ślubne i stałabym się sławna. Przerazająca perspektywa.

Gosia wróciła do mnie z miną dziecka, któremu nie kupiono zabawki. Wzruszyła ramionami i wydała z siebie pogardliwe prychnięcie. Zerknęłam w stronę chłopaka, ciekawa, czym ją tak rozsierdził, lecz zobaczyłam już tylko jego plecy. Właśnie wychodził.

– Następny bufon. Wydaje mu się, że jest jakimś cholernym księciem, czy co? – Moja przyjaciółka się zdenerwowała.

– Może woli rudowłose nimfy albo driady? – zażartowałam. – Faceci są tacy przewidywalni. Dlatego szkoda mi na nich czasu.

Gosia była wyraźnie zawiedziona i oczywiście wściekła. Nie dziwiłam się, zważywszy, że na palcach jednej ręki można policzyć jej miłosne zawody. Spodobało mi się porównanie do księcia. Jeśli wierzyć, że świat wirtualny może być prawdziwy, chłopak, którego widziałyśmy przed chwilą, przyszedł tu z zupełnie innego świata. I nosi imię Cesare. Teraz jednak moim zadaniem było wyciągnąć Gosię z działu czasopism dla kobiet, wyprowadzić na pasaż i wepchnąć z powrotem do metra. Nie minęło kilka minut, a już zupełnie o nim zapomniała.

## MICHAŁ

Dowiedziałem się właśnie, że jadę na święta w góry. Pierwsza myśl to Alpy i nawet się ucieszyłem, choć nie bardzo lubię ruszać się z miejsca. Ale to, co wydaje się oczywiste, wcale takie nie jest. Mam jechać w Tatry z moim ojcem Marcinem i jego znajomym, który nigdy nie był w Polsce. Gratuluję. Świetny pomysł: wchodzić zimą na Czerwone Wierchy albo na Mnicha lub Świnicę. Jestem pewien, że zamiast zdobywać stoki – jak przystoi panom w średnim wieku – będą zdobywać szczyty. Ale ja do tego ręki nie przyłożę. Mogę im ewentualnie zarezerwować hotel. Nie rozumiem, dlaczego, mając pod nosem Alpy, przyjeżdżają do Polski, i to na święta! Podobno przyjaciel Marcina jest wyśmienitym narciarzem. Może więc skuszą go bardziej cywilizowane formy spędzania świątecznego czasu i weźmie ze sobą deski. Ojciec już się cieszy, wierząc, że przeżyjemy prawdziwą męską przygodę. Obawiam się, że w grę wchodzi namioty, śpiwory, sprzęt alpinistyczny i inne ekstremalne pomysły. Już sobie wyobrażam noc na skalnej półce, wbite w skałę czekany, łamanie wszelkich zakazów i towarzyszące temu uczucie, że ktoś w tym towarzystwie oszalał. Ciekawe, czy ja też po czterdziestce stanę się wiecznym chłopcem?

Podobno statystyczny mężczyzna uwielbia wracać do czasów dzieciństwa, ale dlaczego ja mam uczestniczyć w tej sentymentalnej podróży mojego ojca? Obym tylko nie musiał pić piwa z sokiem, które w czasach studenckich Marcina było najbardziej trendy i każdy pobyt w górach pozostawiał po sobie wspomnienie rzędów opróżnionych kufli. Teraz pewnie przeczcił się na whisky albo brandy. Może sobie na to pozwolić. Zarabia naprawdę dobrze. W końcu zalicza się do najzdolniejszych fizyków swojego pokolenia.

Rozmyślając o tym i o owym, dochodziłem do domu, w którym spodziewałem się nikogo jeszcze nie zastać. Zbliżała się dopiero siedemnasta i chciałem na spokojnie poszukać w internecie nowych obrazków Asuki. Jednak we wszystkich oknach paliło się światło.

Dorota wróciła wcześniej. Widziałem jej cień na firance. Wyglądała jak czarownica z piernikowego domu, przesuwając rękę uzbromioną w żelazko po desce do prasowania. Byłem pewien, że wykonuje swoją ulubioną czynność. Prasowanie ją uspokaja. Traktuje je jako zadanie do spełnienia i gdy wszystko leży ułożone równo jak w wojskowych koszarach, oddycha z ulgą i domaga się herbaty.

Dzisiaj miały być ruskie pierogi. To znaczy ja miałem je kupić, a ona ograniczyła się do wstawienia wody na gaz. Jej talent kulinarny wyklucza robienie prawdziwych ruskich. Oboje wiemy, że może się to skończyć tragicznie.

Oczywiście kupiłem też barszcz. Byłem pewien, że jak tylko wpadnę do domu, to sobie o nim przypomni.

– Michał, kupiłeś barszcz?! – krzyknęła, jak tylko usłyszała trzaśnięcie drzwi.

– A miałem kupić? – zdziwiłem się nieszczerze.

– A nie kupiłeś? – odpowiedziała rezolutnie.

Potrafiemy tak bez końca, więc aby przerwać powtarzający się od lat rytuał, oświeciłem ją, że barszcz w rzeczy samej kupiłem i że możemy spokojnie robić obiad.

Myślałem, że uda mi się wyjść z domu po angielsku, ale oczywiście czarna koszula zniknęła.

– Dorota! Nie widziałaś mojej koszuli?! – wrzasnąłem z głową ukrytą w szafie.

– Widziałam, właśnie ją wyprasowałam – odparła, wchodząc do pokoju z wieszakiem. – Wybierasz się gdzieś?

Tego nie przewidziałem. Będzie chciała poznać szczegóły. Aby uprzedzić atak, poinformowałem ją, że zamierzam integrować się z nową klasą i z nową szkołą.

– Mam nadzieję, że się nie zdezintegrujesz – rzuciła dowcipnie. – Po tym, jak musiałeś zmienić szkołę, powinieneś zachować rozsądek.

Ja mam zachować rozsądek? Ciekawe. I to po tym, jak własna matka wrobiła mnie histerycznymi telefonami w kuratora. No cóż, pewne rzeczy są niezmiennie. Jak na przykład nieprzyjmowanie do wiadomości własnej niedoskonałości. Dorota wie wszystko najlepiej. Tak czy inaczej, na imprezę się wybieram. Idę tam z ciekawości, bo nie znam jeszcze wszystkich w szkole. A poza tym chłopaki są w porządku. Kacper namówił nas na spotkanie przed Reytan Party, ale się wykręciłem, bo nie lubię pić piwa przed imprezą. Właściwie to w ogóle nie lubię piwa.

Poza tym wolę zachowywać przytomność umysłu. Zawsze istnieje szansa na interesującą rozmowę.

No i będzie tam Zuzanna, która na forum dyskutowała zawzięcie o muzyce klubowej i potwierdziła swoją obecność na piątkowej imprezie. A to jest warte wyjścia z domu. Od tygodnia oswajam ją małymi krokami. Tak jak się to robi z jeżami. Dużo na ten temat czytałem, musiałem poznać wszystko, czym się pasjonuje. Jeże wydały mi się dość niezwykle. Mają kolce, ale bywają miękkie i otwarte. Wszystko zależy od podejścia.

Magda nie wymagała oswojenia. To ona upolowała mnie. A potem mogłem ją kształtować jak Pigmalion swoją Galateę. Dla mnie stała się ruda, zaczęła się inaczej malować, a nawet opanowała mimikę Asuki. A potem przemówiła jej głosem. To było niezwykle wkręcające. Trochę mi brakuje naszych spotkań i związanych z nimi klimatów. No dobrze, bardzo mi ich brakuje, ale gdy pomyślę o zazdrości, od razu przechodzi mi nagle chęć na „przeżyjmy to jeszcze raz”. Zapala się ostrzegawcze światelko w mózgu i mija chwilowa słabość.

A więc czarna koszula, czarne spodnie, to koniecznie, no i jeszcze przepisowe dziesięć minut mycia zębów. Moja obsesja jeszcze z dzieciństwa. Gdy miałem kilka lat, Ola – pierwsza miłość – zwróciła mi uwagę, że mam na zębach ślad po czekoladzie. Nigdy nie zapomnę tego uczucia zażenowania i wstydu. Zanim jednak wyjdę, obejrzę sobie fragment EVY 2.22. Film jest niezwykle. Tak jak i jego bohaterka, której kopię zobaczę dzisiaj w klubie.

Miasto wyglądało niczym dzieło szaleńca, który dorwał wielkie wiadro z liśćmi i wysypał je z góry na skwery i ulice. Jesień jest rzeczywiście totalnie niszcząca. Jeśli zastanowić się nad kwestią przemijania, to co roku natura serwuje nam rozkład w pigułce. Nic dziwnego, że to czas depresji, a im ktoś słabszy psychicznie, tym bardziej rozkłada się wewnątrz. Podobno najczęściej samobójstw zdarza się jesienią.

W tej samej chwili usłyszałem przeraźliwy pisk opon i niespodziewanie wylądowała na mnie ciemnowłosa dziewczyna z oczami jak kosmitka. Uciekając przed kierowcą mordercą, zeskoczyła z pasów prosto w moje objęcia. Potknąłem się i usiadłem w kupie liści przy sygnalizatorze światel.

– Wariat! – wydusiła ze łzami w oczach, prawie na mnie leżąc. – Totalny wariat!

– Zgadzasz się z tobą w zupełności – zażartowałem. – A teraz, jeśli nie sprawi ci to różnicy, może zesłabyś ze mnie i pozwoliła otrzepać płaszcz?

– Przepraszam, ojej, przepraszam. – Zerwała się z kolan, uderzając mnie boleśnie stopą w łokieć.

Była nawet niebrzydka. Stała przede mną, nerwowo otrzepując krótki płaszczyk w szkocką kratę. Ale w porównaniu z Zuzanną wypadła po prostu bezbarwnie. Spojrzałem na zegarek i z przerażeniem stwierdziłem, że Kacper już musi być w środku, a ma moją wejściówkę.

– Nie ma za co, cześć – rzuciłem nieprzytomnie i wyrwałem przed siebie, nie oglądając się więcej.

Usłyszałem słabe „cześć” i wskoczyłem do autobusu, który szczęśliwie zatrzymał się właśnie na przystanku. Klub widać było z daleka. Klębiący się tłum skutecznie uniemożliwiał dostanie się do środka. Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer Kacpra.

## ZUZANNA

Stałam przed lustrem, przykładając do siebie kolejne sukienki. Zwykle dzinsy, koniecznie stalowe, przetarte, zastrzeżone są rzecz jasna tylko na równie zwykłe okazje, a i tak łączę je z pirackimi koszulami wykończonymi brukselską koronką. Na Reytan Party należało włożyć coś zupełnie innego. Dlatego ulubione czarne lakierki z kokardą cierpliwie czekały przy łóżku na mój wybór.

Wiem! Czarna bez ramiączek, jak futerał na skrzypce. Doskonale. Do tego pończochy, choć nie byłam pewna, czy powinnam je zakładać. Nigdy dotąd tego nie robiłam. Dostałam je od ciotki, która twierdziła, że prawdziwa kobieta musi mieć przynajmniej kilka par pończoch. Wykończone pasem delikatnej koronki. Miękkie futerko w panterkę, udające prawdziwe. Nigdy nie posunęłabym się do włożenia prawdziwego. Z powodów ideologicznych odrzucam noszenie na sobie niewinnych zwierząt. Małeńki srebrny szybowiec z szafirem zamiast kabiny, na srebrnym łańcuszku. Moje dzieło. I jeszcze włosy. Wyjątkowo rozczesane, ale tylko po to, aby je zakreć w swobodnie spływające na ramiona loki. Kojarzyły mi się z fryzurami wampów z lat trzydziestych. Rzęsy, delikatne czarne kreski na powiekach. Jeszcze odrobina czerwieni na usta. Teraz byłam gotowa.

Mama zajrzała do pokoju i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Lakierki na taki deszcz? Weź przynajmniej prochowiec babci. I czarny parasol.

– Prochowiec tak, bo jest jedyny w swoim rodzaju, parasol nie – rzuciłam przez ramię.

– Powiedziałam parasol – powtórzyła bez przekonania mama, choć wiedziała, kto wygra ten pojedynek.

Jestem podobno tak nudna i uparta, że od jakiegoś czasu rzeczywiście odpuszcza, mówiąc, że szkoda jej czasu na głupie rozmowy i że sama kiedyś, jak będę miała córkę, zrozumie, jaką ciężką pracą jest wychowywanie. Wyrabianie w kimś właściwych odruchów. Tak więc przynajmniej chwilowo moje odruchy były bezpieczne i miałam szansę je zachować w nietkniętym stanie na dłużej.

– Mamo, proszę, daj spokój z tym parasolem. I tak zawozi nas do klubu brat Gosi.

– Ale musicie przecież jakoś wrócić – zaprotestowała dla przyzwoitości. – Nie szkoda ci włosów?

Westchnęłam cicho, starając się zachować spokój. Przecież ją uwielbiałam i choć miała ze trzy albo cztery obsesje, co czyniło ją mamą niebanalną, aczkolwiek nieco męczącą, i tak należała do klubu Matek Prawie Idealnych.

– Deszcz równa się romantyczny spacer we dwoje – zaczęłam cierpliwie tłumaczyć. – Ciągłe narzekasz, że z nikim się nie spotykam, a interesuję się tylko fotografią i jeszcze fotografią, no i fotografią, oczywiście. – Uśmiechnęłam się niewinnie i obserwowałam jej reakcję.

– Jeszcze malujesz i rysujesz – powiedziała mechanicznie. – Spacer... tak to niezły pomysł. Oby tylko chłopak miał odpowiednie maniery, jeśli wiesz, co mam na myśli, i nie był nudziarzem. Pamiętam Antka, który z pozoru wydawał się sensowny, a potem zamęczał cię tymi swoimi figurkami i bez końca chciał grać... – dodała z uśmiechem.

Przytaknęłam gorliwie, wykrzywiając się paskudnie na wspomnienie mojej drugiej miłości późnego dzieciństwa.

– Ach, ty spryciaro! Starasz się odwrócić moją uwagę od parasola, nie myśl, że tego nie dostrzegłam. Tym razem ci odpuszczę. O której będziesz?

– Tak jak zwykle, mamó. – Cmoknęłam ją w policzek i zerknęłam w lustro, sprawdzając, czy wyglądam wystarczająco ekstrawagancko. – Czyli koło drugiej.

Kłamstwo wielokrotnie powtarzane stawało się prawdą, choćby nie wiem, jak bardzo było absurdalne. Sprawdziłam to, kilkakrotnie ustalając godziny powrotu do domu. Wystarczyło powiedzieć, że przecież druga w nocy to nie jest jakaś strasznie późna pora i raz uzyskać – w chwili słabości rodziców – zgodę. I nagle to, co do tej pory było wyjątkowe, stawało się normą. A potem można już było powoływać się na tę granicę i udowodnić, że taka godzina została ustalona jako od zawsze obowiązująca.

Magda z mojej klasy, którą uwielbiam za poczucie humoru, inteligencję i prawdziwą bezinteresowność, miała podobne dylematy, ale ustaliłyśmy zgodnie, że nawet jeśli czasem mijamy się z prawdą, robimy to w imię wyższych celów i nie wykorzystujemy uzyskanej wolności w sposób, który potem mógłby przyprawić nas o wyrzuty sumienia i moralnego kaca. Pozostajemy przecież obojętne na klubowe czy imprezowe klimaty. Tak rozgrzeszona, kończyłam przygotowania, perfumując się delikatnie ukochanymi Midnight Poison. Nie ma na świecie lepszego zapachu.

Gosia czekała już z bratem w samochodzie, niecierpliwie bębniąc palcami w kierownicę. Oczywiście usiadła z przodu obok Piotrka, bo nie ma – jak mawia moja mama – właściwych odruchów i uważa, że to miejsce jej się należy. To ewidentnie błąd genetyczny. Brak genu uprzejmości. Nienawidzę biologii.

– Łał, Zuza, wyglądasz zbyt dobrze. Może zapomnimy, że się znamy, i rozpoczniemy od nowa z innym podejściem? – Usłyszałam znajomy chropawy głos amanta z Gosi osiedla.

Jak się okazało, z tyłu siedział jeszcze Mateusz, który mieszkał po sąsiedzku z moją przyjaciółką i najwyraźniej wybierał się do tego samego klubu.

– Coś ty na siebie włożyła?! – Głos mojej najlepszej przyjaciółki stał się o kilka oktaw wyższy. – Przecież idziesz na zwykłą imprezę, a nie na kolację z ojcem chrzestnym, by załatwić mafijne interesy.

No, no, muszę przyznać, że akademia filmowa ma wdzięczną i pojętną uczennicę. Trzy części *Ojca chrzestnego* wystarczyły, aby Gosia zaczęła łapać moje ulubione klimaty.

– Jestem umówiona po klubie na kolację z Mikiem Corleone – odpowiedziałam z poważną miną. – Hmm... co za spostrzegawczość. Nic się przed tobą nie ukryje. Mamy do omówienia z *consigliere* niecierpiące zwłoki interesy.

Brat Gosi zakrzucił się podejrzenie i zerknął w lusterko, rzucając mi pełne rozbawienia spojrzenie. Wiedziała, że chwytła moje dowcipy szybciej niż jego siostra. Ale ten student ostatniego roku politechniki uważał nas za nieodpowiedzialne nastolatki i nigdy nie udało mi się z nim poważnie porozmawiać. Wydawał się dość sensowny, choć miał obrzydliwy zwyczaj szpiegować rodzeństwo. Widocznie nie mógł się już doczekać założenia rodziny i bawił się w nadopiekuńczego tatusia.

– No panienki, wysiadka! – oznajmił po kilku minutach jazdy. – Tylko pamiętajcie: żadnych papierosów, żadnego alkoholu, żadnych rozmów z nieznanymi.

– Oj, dobrze, nie marudź – jęknęła Gosia.

– Nie ma sprawy, Piotrek, gadamy tylko między sobą. – Postanowiłam go uspokoić. – I będziemy grzeczne.

W klubie panował taki hałas, że i tak nie dałoby się z kimkolwiek porozmawiać. Muzyka atakowała wszystkie zmysły i przez chwilę miałam wrażenie, że moje zęby niezależnie od woli wykonują opętńczy taniec szalonego derwisza. Nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę totalne wibracje podłogi, która dosłownie ruszała się pod stopami.

– Jest tu jakieś cichsze miejsce?! – ryknęłam Goście prosto w ucho. – Zaraz wypadną mi wszystkie zęby!

– Jest mega! – wrzasnęła w odpowiedzi i pozęgłowała w stronę grupki naszych kolegów z klasy, którzy zdradzali pierwsze oznaki bycia pod wpływem.

Nie zamierałam się tym przejmować. W końcu Gosia na każdej imprezie zniknęła albo domagała się, żebym z nią gnała na jej ulubionego „fajka”. Swoją drogą kojarzyło mi się to z indiańską fajką pokoju, bo zawsze gdy paliła, wpadała w łagodniejszy nastrój, uspokajając pierwszym dymkiem skołataną nerwy nastolatki. Ale teraz udzielała się towarzysko, więc nie groził mi z jej strony fajkowy atak. Ruszyłam w stronę otwartych drzwi na patio, gdzie w świetle niewielkich latarni płatali się ogłuszeni klubowicze. Wypatrzyłam ławeczkę, której nikt, o dziwo, nie zajmował.

– A ty dokąd? – rozległ się głos Gabi. – Nie uciekaj. Wiesz, że jest tu to nowe ciacho?

– Jakie ciacho? – Wykrzywiłam się z dezaprobatą. – Nic nie wiem o nowych ciachach i naprawdę nie jestem zainteresowana.

– Ten ze Staszica – odpowiedziała lekko obrażona. – Jeśli to nie jest ciacho, to ja się nie znam na...

W tej samej chwili żrenice koleżanki rozszerzyły się niespodziewanie i zasłoniła usta ręką w geście przerażenia. Wyraz twarzy Gabi był zdecydowanie wart uwiecznienia. Żałowałam, że nie wzięłam ukochanego nikon. Ktoś stanął za moimi plecami i poczułam na ramieniu delikatny dotyk dłoni.

– Ciacho? Czy wszystkie dziewczyny w Reytanie mają problem z zapamiętaniem mojego imienia? – spytał, pochylając się tuż przy moim uchu.

Poczułam, że się czerwienię. A tego po prostu nienawidziłam. Nie istnieje nic gorszego niż rumieniec rodem z dzieciństwa, który nieproszony wypelza na policzki w najmniej odpowiednich chwilach.

– Może nie są zainteresowane. O ile się nie mylę, nawet się nie przedstawiłeś. – Odwróciłam się, mrużąc oczy, i zmierzyłam go taksującym wzrokiem.

– Mam na imię Michał. – Słowa wypowiadał wolno, żeby nie powiedzieć z leniwym rozbawieniem. – A ty, jak sądzę, jesteś Zuzanna.

– To ja idę – wyjąkała Gabi. – Widzę, że już się znacie.

Otworzyłam usta, aby zaprotestować, ale Michał pociągnął mnie za rękę i zanim się zorientowałam, już siedziałam na ławce.

– Liczyłem na to, że cię tu znajdę – odezwał się innym, poważnym tonem. – Zwróciłem w szkole uwagę na twoją torbę i przemknęło mi przez myśl, że jesteś dziewczyną, która ukrywa dużo tajemnic. I musi je gdzieś trzymać. Nosić przy sobie. Nie rozstawać się z nimi nawet na chwilę. A tajemnice to moja specjalność.

Akurat. Specjalista od tajemnic się znalazł. A ta biedna dziewczyna, która chciała się dla niego zabić? To też przez tę jego specjalność? Wyobraziłam sobie Michała jako Don Juana, który przechodzi przez wszystkie warszawskie licea, pozostawiając za sobą łyzy i dramaty.

– Jestem chodzącą tajemnicą – odparłam, prowokacyjnie patrząc mu w oczy. – Zamkniętą na kluczyk szkatułką skarbów, do której nikt nie ma wstępu.

– A ja jestem genialnym włamywaczem i zawsze noszę przy sobie wytrychy. – Zaśmiał się, wyraźnie z siebie zadowolony.

Teraz ja uważnie mu się przyjrzałam. A więc lubił potyczki słowne i łatwo nie odpuszczał. W czarnej koszuli, z jasnymi włosami spływającymi do ramion, z wściekłą zielenią oczu wyglądał niezmiernie, jak chodząca pokusa.

W zasadzie nie lubię takich chłopców. Przypominają mi rozpieszczonych kolegów z przedszkola, którzy musieli dostać natychmiast samochodzik i nie spoczęli, dopóki go nie zdobyli. Michał wyglądał na kogoś, komu zabawek nie brakuje i szybko się nimi nudzi. Postanowiłam go sprawdzić.

– Wytrych, powiadasz...? No cóż, każdy może próbować. Nawet jeśli akcja z góry skazana jest na niepowodzenie.

– Tak łatwo się nie zniechęcam. – Spojrzał na mnie przeciągle.

Nagle złapał moją rękę i nie spuszczać ze mnie wzroku, podniósł ją do ust. Złożył na dłoni delikatny pocałunek i uśmiechnął się szeroko.

– Teraz odpuszczam, ale zachowaj czujność, pani tajemnico – rzucił lekko i zerwał się z ławki, a ja zostałam sama.

Prychnęłam pogardliwie, ale chyba już tego nie usłyszał. Za to najlepsza przyjaciółka, która jak zwykle znalazła się nie tam, gdzie trzeba, rozdarła się na całe patio:

– Całowaliście się? Jak było?!

– Oszalałaś?! – krzyknęłam, wstając gwałtownie z ławki, która w ciągu sekundy przestała być azylem. – Z obcym facetem?

Gosia podeszła wolno, kołyszącym krokiem, parodiując westernowy chód.

– Nie unikniesz swego przeznaczenia, *baby* – wycodziła, mrużąc oczy. – Twoim największym problemem jest to, że tak naprawdę nigdy się nie całowałaś.

– A twoim, że nie możesz tego znieść – odcięłam się, spoglądając na nią z wyższością. – To takie pospolite, *baby*.

Uwielbiam jej wyraz twarzy, kiedy nie może znaleźć riposty. Odwróciła się na pięcie i czmychnęła do środka. Starannym ruchem obciągnęłam sukienkę, upewniłam się, że brzeg pończoch jest ukryty, i ruszyłam wolnym krokiem w stronę, skąd dochodziło potworne dudnienie. Wreszcie należało się zmierzyć z rzeczywistością.

– Nareszcie jesteś – ucieszyła się Gabi. – Mam już jego telefon, a jutro po południu idziemy na imprezę do Agaty. Chyba się zakochałam – mówiła, usiłując poprawić spadającą na oczy kokardę.

– To bardzo ciekawe! – krzyknęłam jej do ucha. – Ale chyba coś przeoczyłam, bo nie poinformowałaś mnie jeszcze z kim?

Gabi rozejrzała się nieprzytomnie, szukając wzrokiem wybranka. Nagle w jej oczach pojawiła się żądza mordu. Powędrowałam za spojrzeniem koleżanki i spostrzegłam zniewieściałego bruneta obejmującego pulchną tlenioną blondynkę.

– To on? – upewniłam się jeszcze.

– Tak, to ten idiota, kretyn, burak, ówok – rozkręcała się Gabi. – I nigdy więcej nie uwierzę już...

– Dlaczego nie tańczycie? – zainteresował się Mateusz, który przyzeglował z drugiego końca sali. – Poplotkować możecie później – oznajmił stanowczo i złapawszy nas za ręce, pociągnął w sam środek rozszalałego tłumu.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że wyłądownałam w szpitalu dla wariatów. Wszystko przez electro, które skazywało na paralityczny taniec w świetle stroboskopów. Białe koszule świeciły upiornie fioletem, a gdy Mateusz się do mnie uśmiechnął, zobaczyłam połyskującą w ciemnościach wampirze zęby.

Wampiry, co muszę od razu zaznaczyć, mam już za sobą. Nie fascynują mnie w wersji proponowanej przez wytwory kultury masowej. Moje wampiry to arystokracja wśród krwiopijców. *Nosferatu wampir* z Kinskim w roli głównej to klasyk tak uwodzicielski, że dotąd drzę na jego wspomnienie. Ciekawe, jak zareaguje na serię filmów o wampirach Gosia? Muszę je na niej przetestować.

Na razie jednak mój osobisty wampir w osobie Mateusza chyba sobie coś ubzdurał. Tańczył tak blisko, że przez chwilę odnosiłam wrażenie, iż usiłuje stać się moją drugą skórą, konkurując z ulubioną czarną sukienką. Szybko wyprowadziłam go z błędu, łapiąc Gabrysię za biodra.

– Już wiesz, Mateusz, dlaczego nigdy nie udaje się nam pobyć ze sobą dłużej? – Rzuciłam mu wredny uśmiešek. – Tylko się nie popłacz, bo złamiesz mi serce.

Chłopak zaśmiał się nerwowo i zniknął jak za dotknięciem magicznej różdżki. Prawdziwa ze mnie czarodziejka. My, dziewczyny, uwielbiałyśmy ze sobą tańczyć. Tak naprawdę to imprezy w klubach polegały na pysznej zabawie z przyjaciółkami. Gabi nie chwytła mnie podstępnie za biodra, nie deptała po nogach, tylko kołysała się sennie w moich ramionach, wyrzucając dziesiątki słów na temat niewdzięcznych facetów, co mi w ogóle nie przeszkadzało. Kołysałyśmy się więc zgodnie w rytm dudnienia, bo nie rozróżniałam już pojedynczych dźwięków, gdy nagle poczułam mrowienie w okolicach karku. Babcia twierdzi, że kobiety mają siódmy zmysł, jeśli chodzi o takie rzeczy. Obejrzałam się powoli i napotkałam spojrzenie znajomych zielonych oczu. Ich właściciel wpatrywał się we mnie intensywnie z odległości metra. Nie wiem, co wyrażały, wołałam nie analizować, bo nagle poczułam się jak szmaciana laleczka. A tego wybitnie nie znoszę. Wytrzymałam wzrok Michała i znieruchomiałam, czując, jak gęstnieje między nami powietrze. Potem jego wzrok powędrował leniwie od kostek w górę i zatrzymał się gdzieś na wysokości ud. Nagle ktoś mnie popchnął i poleciałam plecami na Gosię, zaśmiewającą się z wątpliwej jakości dowcipu dyżurnego klasowego błazna, Oskara. Michał zniknął w tłumie, a ja ze zdumieniem odkryłam, że coś stało się z moją wieczorową sukienką. Zobaczyłam, o zgrozo, pasek nagiej skóry widoczny nad czarną koronką pończoch. I kompletnie zrolowany do połowy ud brzeg sukni. Ta podła zdrązyczyni ujawniła światu tajemnicę grzecznej Zuzanny. A najgorsze, że nowe wcielenie wydało mi się przez chwilę zdecydowanie bardziej interesujące.